Kiedy znów będę mały

Do dorosłego czytelnika

Powiadacie:
– Nuży nas obcowanie z dziećmi.
Macie słuszność.
Mówicie:
– Bo musimy się zniżać do ich pojęć.
Zniżać, pochylać, naginać, kurczyć.
Mylicie się.
Nie to nas męczy. – Ale że musimy się wspinać do ich uczuć.
Wspinać, wyciągać, na palcach stawać, sięgać.
Żeby nie urazić.

Do młodego czytelnika

W powieści tej nie ma ciekawych przygód. Jest to próba powieści psychologicznej.

Nie psychologiczna, że o psach. Nie psy, ale jeden tylko Łatek.

A że po grecku psyche znaczy dusza.

Mówi się tu, co się dzieje w duszy człowieka: o czym myśli, co czuje.

To tak było. Leżę raz w łóżku i nie śpię. Ale przypominam sobie, że jak byłem mały, często myślałem, co będę robił, gdy urosnę.

Różnie układałem.

Jak będę duży, zbuduję domek dla rodziców. I ogródek będę miał. Żeby w ogródku nasadzić drzewek: grusz, jabłoni i śliwek. Zasieję kwiaty. Żeby jak jedne kwiaty więdną, inne zaczynały kwitnąć.

Nakupuję książek z obrazkami albo bez obrazków, tylko żeby były ciekawe.

Kupię farby, ołówki kolorowe, będę rysował, malował. Co zobaczę, będę rysował.

Będę pielęgnował ogródek – i altankę wybuduję. W altance postawię krzesło, fotel z poręczami. Altanka będzie obrośnięta dzikim winem, a jak ojciec wróci z roboty, niech siedzi wygodnie w cieniu. Nałoży na nos okulary i będzie czytał gazetę.

A mama znów – będzie miała kury. I będzie gołębnik wysoko na palu, żeby się kot albo inny szkodnik nie zakradł.

I króliki będą.

Będę miał srokę, nauczę ją mówić.

Będę miał kuca i trzy psy.

Raz chcę mieć trzy psy, a raz cztery. Nawet wiedziałem, jak je będę nazywał. Zresztą niech będą trzy: dla każdego po jednym. Mój będzie Bekas, a mama i ojciec niech nazwą, jak im się będzie podobało.

Dla mamy mały, pokojowy piesek. A jak woli kota, no to kot. Albo i pies, i kot. Przyzwyczają się, z jednej miseczki będą jadły. Piesek czerwoną wstążeczkę, kot – niebieską.

Raz się nawet pytałem:

– Mamo, czy czerwona wstążka lepsza dla psa, czy dla kota?

A mama powiedziała:

– Znów spodnie podarłeś.

Ojca się zapytałem:

– Czy każdy staruszek musi mieć ławeczkę pod nogi, jak siedzi?

Ojciec powiedział:

– Każdy uczeń powinien mieć dobre stopnie i nie stać w kącie.

No i przestałem się pytać. Już potem sam wszystko. Może psy będą do polowania. Pójdę na polowanie, przyniosę do domu, mamie oddam. Nawet dzika upoluję, ale nie sam – z kolegami. Moi koledzy także już będą duzi.

Będziemy chodzili się kąpać. Zrobimy łódkę. Jak rodzice zechcą, będę ich woził.

Gołębi będę miał dużo. Listy będę pisał i przez gołębie wysyłał. To będą gołębie pocztowe.

Z krowami było tak samo. Raz myślę, że jedna wystarczy, raz – dwie.

Więc jak mamy krowę, to już jest mleko, masło, ser. A kury naniosą jajek.

Później będą ule. Pszczoły, miód. Mama namarynuje dla gości śliwek na całą zimę i nasmaży powideł.

Będzie las. Pójdę do lasu na cały dzień. Wezmę wszystkiego na cały dzień, pójdę zbierać jagody, poziomki, a potem na grzyby. Nasuszy się grzybów – i będzie.

Narąbię drzewa du-u-u-użo, na całą zimę. Żeby było ciepło.

Studnię trzeba wykopać głęboką, aż do wody czystej, źródlanej.

Ale różne rzeczy trzeba kupować: buty, ubranie. Ojciec będzie stary, nie może dużo zarabiać. Więc ja.

Zaprzęgnę konia i zawiozę na targ owoce, jarzyny, wszystko, co niepotrzebne. A co potrzebne, przywiozę. Będę się targował i tanio kupię.

Albo nałożę jabłek do koszów, pojadę do dalekich krajów okrętem. W ciepłych krajach są figi,

daktyle, pomarańcze, więc im się znudziły. I kupią jabłka. A ja – ich owoce. Przywiozę papugę, małpkę i kanarka.

Sam już nie wiem, czy wierzyłem w to wszystko. Ale przyjemnie było tak sobie w głowie układać.

Czasem nawet wiedziałem, czy koń będzie gniady, czy kary. Bo na przykład widzę jakiegoś konia i myślę: „O, takiego będę miał, jak urosnę". A potem zobaczę innego i myślę: „Nie, taki będzie lepszy". Albo: „Niech będą dwa – i ten, i ten".

Aż wezmę, i znów inaczej.

Że będę nauczycielem. Zbiorę ludzi i powiem:

– Trzeba dobrą szkołę wybudować. Żeby nie było tak ciasno, żeby jeden drugiego nie pchał, nie deptał, nie potrącał.

Przychodzą dzieci do szkoły, a ja się pytam:

– Zgadnijcie, co będziemy robili?

Jeden powie:

– Pójdziemy na wycieczkę.

Drugi mówi:

– Będą przezrocza.

I to, i sio.

A ja:

– Nie – nie – wszystko to też będzie, ale i coś ważniejszego.

Aż jak się uspokoją, dopiero:

– Szkołę wam zbuduję.

I wymyślam różne przeszkody. Że niby szkoła już prawie gotowa, a tu się zawaliła albo pożar. Trzeba znów zacząć; ale na złość, jeszcze lepszą budujem.

Zawsze myślałem z przeszkodami. Jak jadę okrętem, to burza. Jak jestem wodzem, naprzód przegrywam, a na końcu dopiero zwycięstwo.

Bo nudzi się, jeżeli się wszystko od samego początku udaje. Więc przy szkole jest ślizgawka, więc są różne obrazki, mapy, przyrządy, gimnastyka, wypchane zwierzęta.

Nadchodzą święta, a tu się zebrali przed szkołą chłopcy i dziewczęta i krzyczą:

– Proszę wpuścić. Nie chcemy świąt, chcemy chodzić do szkoły.

Woźny się z nimi kłóci, ale nie pomaga. A ja siedzę w kancelarii, nic nie wiem, bo piszę różne papiery. Aż tu wchodzi woźny. Zastukał i wchodzi.

On zastukał. Ja mówię:

– Proszę.

No i mówi:

– Proszę pana, dzieciaki zrobiły bunt, nie chcą świętować.

A ja:

– Nie szkodzi. Zaraz je uspokoję.

Wychodzę – śmieję się – nie gniewam. Tłumaczę:

– Jak święta, to święta. Nauczyciele muszą odpocząć. Bo jak są zmęczeni, gniewają się i krzyczą na dzieci.

Rada w radę: że będą przychodziły się bawić na podwórku, ale porządku niech same pilnują.

Różnie myślałem, co będę robił, gdy urosnę.

Raz, że będzie tylko ojciec i mama, a raz, żeby mieć żonę. Żeby na własnym gospodarować.

Żal mi się z rodzicami rozłączać, więc mieszkamy razem, tylko przez sień. Po jednej stronie rodzice, a po drugiej ja z żoną. Albo nich będą dwa domki w sąsiedztwie. Bo ludzie wiekowi lubią spokój. Jak się po obiedzie położą, żeby dzieci nie przeszkadzały. Bo dzieci latają, tupią, stukają, krzyczą, hałasują.

Kłopot mam z dziećmi, bo nie wiem, czy chcieć samych chłopaków, czy i dziewczynkę. Czy lepiej, żeby chłopiec był starszy, czy ona.

Żona mogłaby być taka, jak moja mama, a dzieci – sam nie wiem. Czy chcę, żeby dokazywały, czy mają być spokojne, i co im pozwolić robić? No – żeby cudzego nie ruszały, papierosów

nie palić, nie mówić brzydkich wyrazów, żeby się nie biły i nie bardzo kłóciły.

A co zrobię, jak się pobiją, nie zechcą się słuchać albo szkodę jaką wyrządzą?

Czy mają być większe, czy małe?

Rozmaicie myślę.

Raz chcę być duży jak Michał, raz jak wuj Kostek, raz jak tatuś.

Raz chcę być duży na zawsze, a raz tylko na próbę. Bo może z początku będzie mi przyjemnie, a potem znów zechcę być mały?

I myślałem – myślałem, aż naprawdę urosłem. Już mam zegarek, wąsy, biurko z szufladami, wszystko mam jak dorośli. I naprawdę jestem nauczycielem. I nie jest mi dobrze.

Nie jest mi dobrze.

Dzieci nie uważają na lekcjach, muszę się ciągle gniewać. Dużo mam różnych zmartwień. Ojca ani mamy już nie mam.

Więc dobrze.

Zacznę teraz myśleć na odwrót:

Co bym robił, gdybym znów kiedyś był dzieckiem. Nie takim zupełnie małym, ale żeby chodzić do szkoły, znów bawić się z chłopakami. Żeby tak nagle obudzić się i zobaczyć:

Co to się stało? Czy mi się tylko śni, czy naprawdę?

Patrzę na ręce, dziwię się. Patrzę na swoje ubranie, dziwię się. Wyskakuję z łóżka, lecę do lustra. – Co to się stało?

A tu mama pyta:

– Wstałeś już? Prędko się ubieraj, bo się spóźnisz do szkoły.

Gdybym znów był dzieckiem, chciałbym pamiętać, wiedzieć, umieć wszystko, co teraz wiem i umiem. I żeby nikt się nie domyślał, że już byłem duży. A ja niby nic. Udaję, że jestem takim samym chłopakiem, jak wszyscy, mam ojca i mamę i chodzę sobie do szkoły. Tak byłoby najciekawiej, najlepiej. Przyglądałbym się tylko, i tak by było śmiesznie, że mnie nikt nie poznaje.

Więc raz leżę w łóżku – nie śpię i myślę:

Gdybym był wiedział wtedy, wcale nie chciałbym urosnąć. Sto razy lepiej być dzieckiem. Dorośli są nieszczęśliwi. Wcale tak nie jest, że dorośli mogą robić, co chcą. Nam mniej jeszcze wolno niż dzieciom. Cięższe mamy obowiązki. Więcej mamy zmartwień. Rzadziej mamy myśli wesołe. Już nie płaczemy – to prawda – ale chyba dlatego, że nie warto płakać. My tylko ciężko wzdychamy.

I westchnąłem.

Westchnąłem ciężko, głęboko: że już trudno, przepadło. Nikt nic nie poradzi. Nigdy już dzieckiem nie będę. Nic tu żal nie pomoże.

Ale jak tak westchnąłem, zrobiło się nagle ciemno. Zupełnie ciemno. Nic nie widzę. Tylko dym jakiś. Aż w nosie kręci.

Zaskrzypiały drzwi. Przestraszyłem się. Jakieś maluśkie światełko się pokazało. Jak gwiazdka.

– Kto to?

A gwiazdka płynie przez ciemność – i coraz bliżej – do mnie. Już koło łóżka, już na poduszce.

Patrzę, a to maleńka latarka. A na poduszce stoi mały człowieczek. A na głowie ma czerwony, wysoki kapelusz. I siwą brodę. – No – krasnoludek. – Tylko zupełnie mały – jak palec.

– Jestem.

Uśmiecha się i czeka.

I ja się uśmiechnąłem. Bo myślałem, że mi się tak śni. Dorosłemu też się czasem przyśni dziecinny sen – że aż się dziwi: skąd to się wzięło.

A krasnoludek mówi:

– Wezwałeś mnie – mówi – a teraz nie wierzysz.

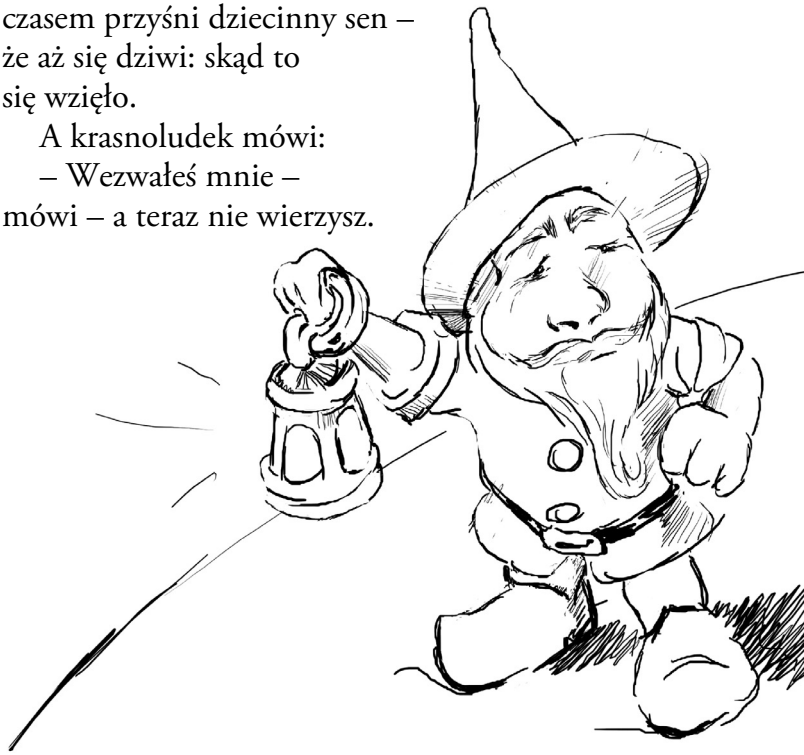

I zaczął bujać latarką: w prawo, w lewo, w prawo, w lewo.

– Nie wierzysz – mówi. – Dawniej ludzie zajmowali się czarami. Teraz w czarnoksiężników, w krasnoludki i wróżki wierzą tylko dzieci.

Buja latarką i kiwa głową. A ja boję się nawet ruszyć.

– Powiedz jakieś życzenie. Spróbuj. Co ci to szkodzi?

Poruszyłem ustami, żeby się go zapytać, a on już się domyślił – już wie.

– Wezwałeś mnie Westchnieniem Tęsknoty. Ludzie myślą, że zaklęcia – to koniecznie muszą być wyrazy. A nie, a nie, a nie.

Kiwa głową, że nie. Przestępuje z nogi na nogę. Tak śmiesznie. I latarką swoją w prawo i w lewo.

A ja czuję, że już zasypiam. I oczy szeroko otwieram, żeby nie zasnąć. Bo mi szkoda.

– No, patrz – mówi krasnoludek – patrz, jakiś ty uparty. Śpiesz się,

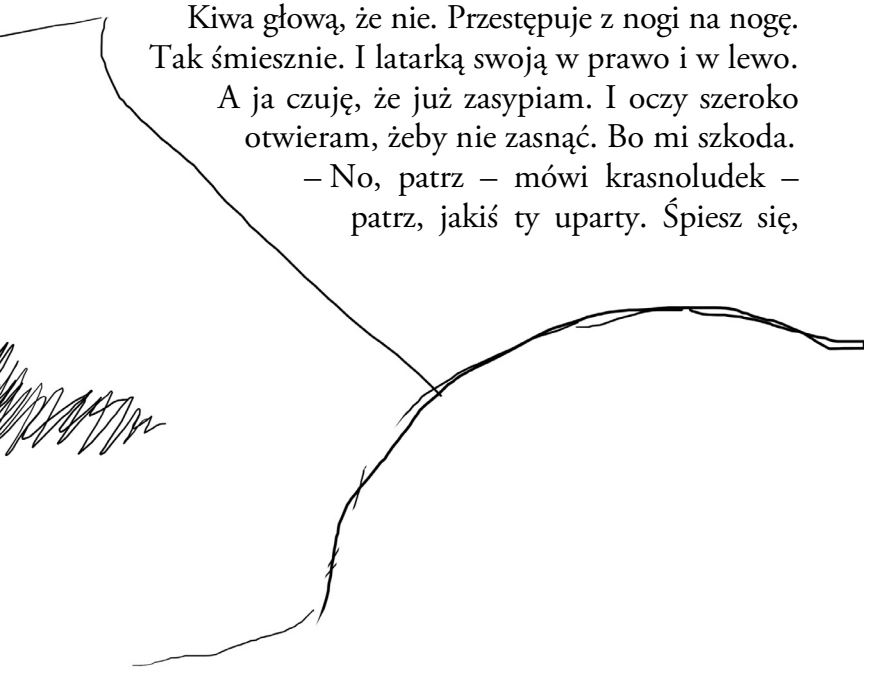

bo sobie pójdę. Mnie nie wolno być długo. Będziesz potem żałował.

Już nawet chcę powiedzieć życzenie, ale nie mogę. Może już jest tak na świecie, że łatwo mówić, jeśli się tak sobie pragnie, a trudno, jeśli chce bardzo.

Widzę, że krasnoludek zmartwiony. Żal mi go. Ale nie mogę.

– No, pozostań w spokoju. Szkoda.

I już odchodzi. I teraz dopiero powiedziałem cicho i prędko:

– Chcę znów być dzieckiem.

Wrócił – zakręcił się jakoś – i latarką prosto w oczy. I coś powiedział, ale nie słyszałem. Nie wiem, jak wyszedł. A kiedy się rano obudziłem, pamiętałem wszystko.

Rozglądam się ciekawie po pokoju.

Nie, nie śniło się wcale.

Prawda.

Dzień pierwszy

Nic nie mówię nikomu, że byłem dorosły, udaję, że zawsze byłem chłopcem, i czekam, co z tego będzie. Tak mi dziwnie i śmiesznie. Patrzę i czekam.

Czekam, aż mama mi chleb ukraje, niby że sam nie mogę. Pyta się mama, czy lekcje odrobiłem. Mówię, że tak, ale naprawdę to nie wiem.

Wszystko jak w bajce o śpiącej królewnie[1], a nawet gorzej. Bo królewna sto lat spała, ale wszyscy razem z nią spali i razem się obudzili: i kucharze, i muchy – cała służba – nawet ogień na kominie. I obudzili się tacy sami. A ja obudziłem się zupełnie inny.